

Wspomnienie

Jurek oddychał talentem

Zawsze lubilem ciszę, a żyję cały czas w hałasie, huk, jazgocie. No ale tak sobie wybrałem.

Renata Radłowska

Dzwonili codziennie, pisali SMS-y. On odbierał, jak miał siłę. Lubiał ich słuchać.

Elżbieta Bińczycka (teatrolożka, sekretarz literacki w Starym Teatrze, żona aktora Jerzego Bińczyckiego): – Chciałam złożyć mu życzenia, 14 marca kończył 80 lat. Nie odebrał wtedy, może źle się czuł, nagrałam się. Potem oddzwonił, ale ja nie odebrałam, zostawił wiadomość. Mówił, że tak się cieszy, że było mu to potrzebne, ten mój telefon z życzeniami. Pewnie mam jeszcze w telefonie to nagranie, ten jego głos, przeciąganie ostatniej samogłoski, ten akcent krakowski.

Janusz Szydłowski (dyrektor krakowskiego teatru Variete): – Codziennie u niego byłem, prawie. Bo czasami pisał, że dzisiaj nie, dzisiaj gorzej się czuje. Albo w ogóle nie musiał tego mówić, ja wiedziałem. Wie pani, przez całe życie nie powiedziałem tyle razy komuś, że go kocham. A ostatnie miesiące powtarzałem to w kółko. I taka była nasza ostatnia rozmowa. O taka: „Jureczku, wiesz, że cię kocham?”. „Januszu, wiem, i ja ciebie też kocham”. To było pożegnanie, wiedzieliśmy o tym obaj.

POCIĄGI

Ojciec był kolejarzem, matka prowadziła knajpę (dawniej mówiło się „wyszynk”). Mieszkali w podkrakowskich Leńczach. W zwyczajnym domu, nie specjalnego. Obok był kościół, stacja kolejowa. Mieli za domem ogród, a w nim dużo drzew owocowych.

Miał dziewięć lat, kiedy zginął ojciec. „Wracał pociągiem z Przemysła. Pojechał w dodatkową trasę, dorabiał na ten dom, który miał budować. Wjeżdżali na stację Płaszów, kiedy najechały na nich wagony z węglem, zwrotnica nie była przelozona. (...) Ojciec skoczył do drzwi lokomotywy, ale zgmiotło te drzwi i ojca w drzwiach, w całości została właściwie tylko głowa. No i ta głowa była w tej trumnie, i poskładane resztki munduru” („Wyborcza”).

Był wtedy na wakacjach u wujka we Wrocławiu. Jechał do domu, ale nie wiedział, po co właściwie, dlaczego tak nagle.

Zaczęła się bieda. Matka nie mogła utrzymać siebie i dzieci, starszy syn, Je-

rzy, trafił do domu dziecka, na chwilę. Potem zabrał go wujek, do Wrocławia.

Matka miała marzenie: Jurek będzie kolejarzem, jak dziadek, ojciec i wujek. Bo taka tradycja, bo zawód dobry. Nie chciał, wolał trzymać się z daleka od pociągów.

Opowiadał w filmie „Jerzy Trela. Człowiek o chmurnych oczach i uśmiechniętej duszy” (w reżyserii Marty Węgiel): „Miałem taką traumę po śmierci ojca, że postanowiłem, że nie będę miał z tym nic wspólnego. No niestety okazało się po latach, że jednak będę skazany na podróże pociągami, a to z wyboru, własnego. (...) Taki trend był w latach 90., że aktorzy powinni siedzieć na walizkach i jechać tam, gdzie jest praca”.

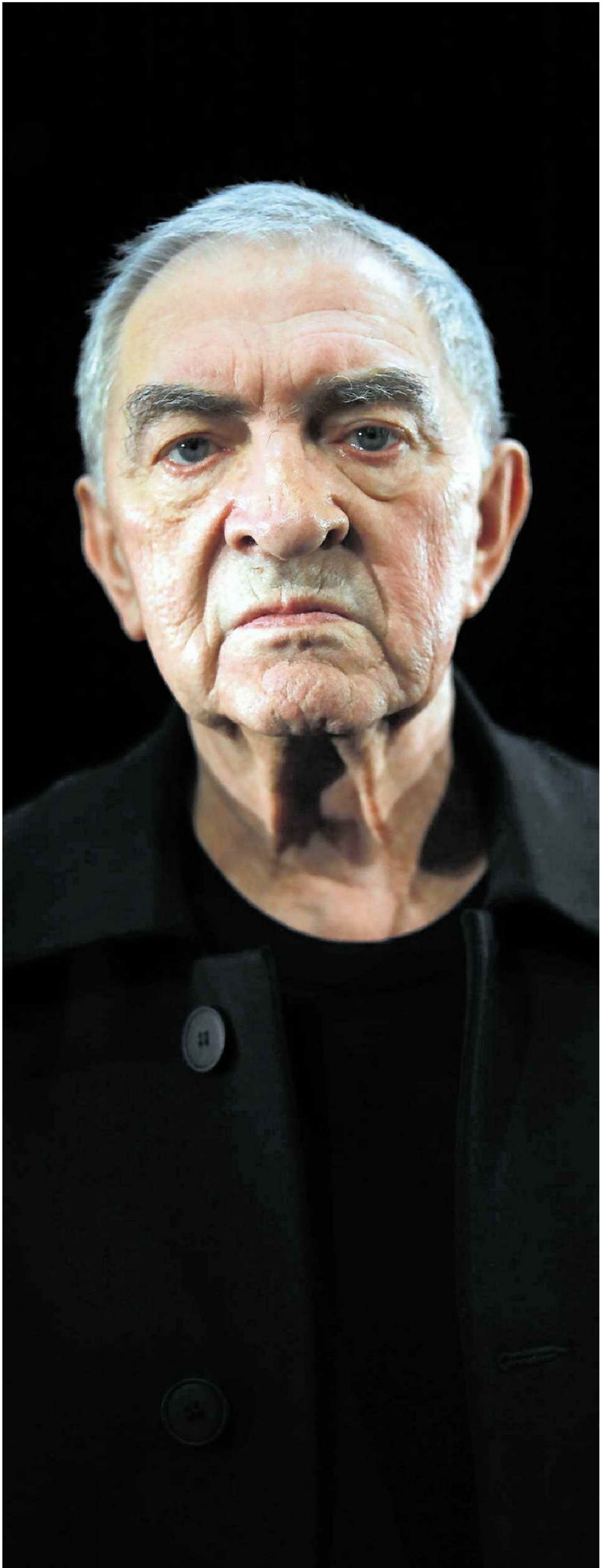
RECYTATOR

Wybrał liceum plastyczne, talent dostrzegł w nim Bolesław Chromy (mieszkał w Leńczach). Przeprowadził się do Krakowa. Był starszy od kolegów i koleżanek. Szkoła była mądra: jeżeli nakazy, to te związane ze sztuką (jest najważniejsza), jeżeli zasady, to inne niż noszenie mundurka, kończenie lekcji razem z dzwonkiem (wolność, niezależność, poszukiwanie własnej drogi). Tu nie było Stalina i socrealizmu.

Polonistka odkryła u Jerzego talent – znakomicie recytował wiersze.

„Od dziecka nie znosiłem uczenia się wierszy na pamięć. W liceum jak na złość mieliśmy polonistkę zauroczoną recytacją. Co tydzień zadawała jakiś wiersz. Ja polecenia bojkotowałem. W efekcie miałem w dzienniku siedem dwój, groził mi niedostateczny na semestr. Koleżdy zaczęli mnie namawiać: naucz się czegoś i zgłoś się. Przygotowałem więc »Śmierć Pułkownika«. Gdy powiedziałem wiersz, profesorka wpisała do dziennika czwórkę, ale ołówkiem. Po jakimś czasie zaproponowała mi udział w konkursie recytatorskim. Zakwalifikowałem się do eliminacji regionalnych i stałem się największym sukcesem recytatorskim pani profesor. Od tej pory byłem stałym elementem artystycznym wszystkich akademii” („Wyborcza”).

Jan Polewka (scenograf): – Chodziliśmy razem do liceum plastycznego, pewnie jestem jednym z niewielu, którzy znali go tak długo. Był starszy ode mnie o kilka. Rzeczywiście miał talent



recytatorski, świetnie mówił Galczyńskiego. Podczas matury jego starszej klasy profesor malarstwa wziął mnie jako modela i Jurek narysował mnie na rysunku maturalnym; portret jest w liceum plastycznym.

Leszek Piskorz pisze w swojej książce „Ja, kinder z Grzegórzeck”: „Grzegórzecki były dzielnicą ciekawą z różnych względów, ale wyróżniały się też nagromadzeniem urodziwych panien (...). Wyróżniającą się wśród nich osobką była sąsiadka mieszkająca w bloku stojącym vis-à-vis naszego kąta. Miała niebawymie piękne oczy, zgrabną sylwetkę i dwa grube, związające do pasa warkoczki. Do tego nosiła zupełnie egzotyczne dla nas imię – Georgette. (...) Podczas jednej z rutynowych wizyt u kumpli z uliczki dowiedziałem się, że nasz »grzegórzecki skarb« jest adorowany przez nikomu nieznanego »kurdupla«. Pytam więc, jak to się stało, że do tej pory nie dostał w »papugę«, jak to było w zwyczaju, a na to oni, że amant Georgette to super chłopak i pasuje do nas jak ulał”.

Jerzy i Georgette (imię po francuskiej babce, po prostu „Żorzeta”) byli ze sobą od liceum, potem się pobrali. Dziewczyna z grubymi warkoczami umarła w 2015 r.

Kończąc liceum plastyczne, wybierało się albo Akademię Sztuk Pięknych, albo PWST, na pewno coś humanistycznego. Trela – pracę w teatrze lalek Miś w Nowej Hucie (był animatorem, wymyślał dekoracje).

Miś miał ambicje, wystawił „Plaszcz” Gogola (Trela grał krawca), spektakl pokazano na którymś z festiwali teatralnych. Tam Jerzego zobaczyli Zofia i Władysław Jarembowicz, ścignęli go do Groteski.

Zdał do szkoły teatralnej.

Był na roku z Jerzym Fedorowiczem, Marianem Dziędziałem, Mikołajem Grabowskim, Henrykiem Talarem, Januszem Szydłowskim, Haliną Wyrodek, Leszkiem Teleszyńskim. Miał 23 lata. Przyjaźnił się ze starszymi: Wojciechem Pszoniakiem, Krzysztofem Jasińskim, Olgierdem Łukaszewiczem, Janem Łukowskim. Część z nich była potem w grupie założycieli teatru STU – marzył im się ferment, odkrywanie nowych form, definiowanie na nowo, chcieli testować pomysły.

„Krzysztof cały czas opowiadał o tym, jak wyobraża sobie nasz teatr. Gadaliśmy o tym do późna w nocy. Ja sobie w końcu przysnąłem. W pewnym momencie obudził mnie głos z podwórka. Był świt. Zobaczyłem Jasińskiego stojącego na kupie gruzu, mówiącego: »Ja tu, kurwa, zrobię teatr«. No i zrobił” – wspominał Trela w książce Jasińskiego „Rodzina STU. Pokrewieństwo z wyboru”.

W STU zagrał w „Pamiętniku wariata” według Gogola, był rok 1966.

Urodził mu się syn. W PWST nazywali go „tata”.

(Matka nie była szczęśliwa, że będzie aktorem. Nie považała zawodu. Kiedy jej powiedział, że gra w „Pamiętniku wariata”, skomentowała: „No tak, wariata”. Kiedy umarła, Jerzy i jego brat znaleźli w domu pudełko z wycinkami z gazet, matka zbierała wszystkie recenzje spektakli, w których wystąpił syn).

Polewka: – Po „Pamiętniku wariata” już wiedzieliśmy, że Jurek Trela jest gotowym aktorem, zadziwił nas. Grał w Teatrze Rozmaitości, dzisiejszej Bagateli, gdzie powstała grupa Proscenium; pierwszym jej spektaklem był „Nos” Gogola, do którego zrobiłem scenografię. Potem przygotowaliśmy scenografię do dwóch dyplomów reżyserowanych przez Trelę w szkole teatralnej, a na koniec do „Wielkiego kazania księdza Bernarda” w teatrze STU (tekst Leszka Kołakowskiego). Reżyserował ten znakomity monodram Krzysztof Jasiński, wielki przyjaciel Trela – zawsze o niego dbał, zarówno jako o aktorka,

jak i o człowieka. Z Proscenium Jurka Trelę zabrał Jan Paweł Gawlik (dyrektor Starego Teatru).

Piskorz: – Pamiętam taką rozmowę, podczas której Jurek zwierzył się, że chyba rzuci aktorstwo i wróci do Leńca, bo jakoś mu w tym zawodzie nie idzie. Miało być dobrze, a jest do niczego. Powiedziałem mu: „Czekaj, przyjdą lepsze czasy”. Przybity był.

DWA RAZY KONRAD

A potem przyszedł Konrad Swinarski, reżyser wizjoner.

Wybór Trela do roli Konrada był zaskoczeniem. Bo niby kim był Trela? Może i zdolny, ale byli bardziej doświadczeni, z nazwiskami. A Trela niski, drobny, plebejski, szorstki. Aktor charakterystyczny, nawet komiczny, niezły w ironii i absurdzie. Ale żeby Konrad? Swinarski wiedział lepiej, bo w Trela zobaczył coś, czego nie widzieli inni (krytyka pisała o aktorze: „Człowiek o warunkach faceta spod budki z piwem”). Konrad według niego miał być ludzki, nie patetyczny.

Rola była wielkim wysiłkiem, wyczerpywała fizycznie i psychicznie. Próba za próbą, wielokrotne padanie na kolana w jednej ze scen, ból kolan (Swinarski poprosił w końcu o ochraniacze dla Trela, dostał takie dla hokeistów). Publiczność zapamiętała najmocniej Wielką Improwizację.

„W szeroko rozwartych oczach (Trela podczas Improwizacji prawie nie mruga) czai się obłąd, gorączka, naciągająca szaleństwo. Coraz szybszy jest narzeczony rytm otwartych dłoni i zacisniętych pięści. I nadchodzą epileptyczne ataki – nie są odgrywane wprost, lecz znaczone upadkami. Pierwszy, po słowach »I najmocniejsze czucie«, zdradza napięcie emocji, którego już nie daje się opanować. (...) Konrad podnosi się, wraca do słów. Upada do tyłu, na plecy, wypinając naprężone ciało w luk” (Beata Guzcalska w książce „Trela”).

Trela nie pamiętał premiery, może tylko sam początek.

Był Konradem 360 razy.

Rok po premierze „Dziadów” Swinarski zdecydował się wystawić „Wyzwolenie” Wyspiańskiego. Rolę Konrada dostał Trela, Swinarski uznał, że to logiczne. Dwóch Konradów – ten z „Dziadów” i ten z „Wyzwolenia” – było podobnych do siebie i jednocześnie niepodobnych.

19 sierpnia 1975 r. Swinarski ginie w katastrofie lotniczej niedaleko Damaszku. Aktorzy Starego nie chcieli zagrać tego dnia „Wyzwolenia”, ciężar emocjonalny zbyt wielki. Dyrektor Starego wymusił na zespole, że wystąpi dzień później.

„To przedstawienie po jego śmierci było niesamowite, chyba najlepsze, jakie zagraliśmy. Między nami a widownią coś się działo, był to z jednej strony koszmarny, a z drugiej nieprawdopodobny wieczór wspólnego przeżycia z widownią czegoś, co wykraczało poza teatr” (Trela u Guzcalskiej).

MAŁY JERZY, DUŻY JERZY

Dużo przeciwności, tyle samo podobieństw. Jerzy Bińczycki w Starym Teatrze od 1965 r., Jerzy Trela od 1970 r. Duży Jerzy (Bińczycki), mały Jerzy (Trela). Pierwszy żartowniś, misiowaty taki, drugi raczej milczący, człowiek „z kąta” (co nie oznaczało, że w nim siedział, po prostu nie lubił być z przodu), ufny. Przyjaciele.

Bińczycki wpadał do Trela i mówił, żeby szedł do sekretarki (szara eminencja), bo go wzywała. „Ale że mnie? Po co tam pójść?” – pytał Trela. „Idź, wiesz, że z nią nie ma żartów” – odpowiadał Biń-

czycki. „A weeeż” – mówił Trela. „No idźże, to ważne” – przekonywał Bińczycki.

I biegł po schodach do gabinetu. Sekretarka zdziwiona pyta: „Co pan tu robisz?”. Na co Trela, że ten tego, Bińczycki mówił... „Bińczycki mówił? Nic o tym nie wiem”.

I znów po schodach, do Bińczyckiego, który już pękał ze śmiechu. Trela zawsze się nabierał na ten żart.

Elżbieta Bińczycka: – Mój Jurek wyjechał ze spektaklem za granicę. Jurek Trela miał się mną opiekować, bo wiadomo: młoda, sama w mieście. Któregoś dnia poszłam do SPATiF-u, nudziło mi się już w domu. Byli wszyscy, Jurek trochę wypił. Po jakimś czasie mówi do mnie, że bym już poszła, bo młoda, bez męża, a tu tylu facetów, no nie wypada, martwi się. Poszłam. A rano wpada do nas Jurek i stoi taki przejęty. „Bo wiesz, Eluu, wiesz” – mówi. W jednej ręce trzyma gazetę, w drugiej siatkę. I wyciąga z niej schab, kaszanke, pasztetową. Tłumaczy: „Pasztetka domowa, zjedz. A jak Jurek wróci, to schabowego zrób”. Nie obraziłam się, na niego się nie obrażało. Był dobry, czuły, mądry.

Kiedy Bińczyckim urodził się syn, poszli do SPATiF-u. Alkoholu nie było w sklepach, każdy coś miał u siebie, zabrał. Było głośno, przyjechała milicja, zabrała jednego z gości. Nad ranem, na kacu wielkim jak ocean, Bińczycki i Trela poszli na komisariat ratować kolegę.

Bińczycka: – Kiedy Jurek Trela grał w „Dziadach”, w garderobie stała butla z tlenem. Wpadał w przerwie i wdychał, żeby nabrać sił, bo rola była wyczerpująca. I pewnego razu tlenu w butli za-

Dzwonili codziennie, pisali SMS-y. On odbierał, jak miał siłę. Lubili ich słuchać

brakło. Jurek Stuhr wpadł wtedy na pomysł, że napelnią ją zwyczajnym powietrzem; proszę mnie nie pytać, jak to zrobili. W każdym razie wpada Jurek, rzuca się na butlę, wciąga haust powietrza i mówi, że to takie dobre, tego właśnie potrzebował. Nie wiem, czy ktoś mu powiedział w końcu prawdę...

Bińczycki szefował Staremu. Na pytania o Trelę odpowiadał: „Co robi Jurek? Jurek oddycha talentem”. Wiedział, że ma w zespole geniusza.

PROFESOR

O Trelę upominał się film.

Pierwsze epizody w „Stawce większej niż życie”, w „Janosiku” – tu grał Bacusia, ale reżyser musiał go uśmiercić, bo w teatrze na Trelę czekała rola.

Potem Kazimierz Kutz, z którym się zaprzyjaźnił („Sól ziemi czarnej”, „Śmierć jak kromka chleba”), Janusz Morgenstern („Kolombowie”), Krzysztof Kieślowski („Spokój”). Setki ról – Szajbusek w „Aniele w Krakowie”, Chilon Chilonides w „Quo vadis”, Podkomorzy w „Panu Tadeuszu”...

Ale teatr był ważniejszy. Trela potarzał często, że w filmie bywa, w teatrze jest.

Został rektorem krakowskiej PWST. Za sztyko podjął decyzję, spieszył się do teatru, rzucił tylko propozycję i już go nie było.

„Zostałem rektorem w 1984 r. Po namowach kolegów. Poświęciłem siedem lat na to, żeby się zająć ludźmi. Chronić w szkole to, co jest, a jeżeli się da, rozwijać. Książd Tischner miał spotkania ze studentami. Żeby zalegalizować jego

obecność, o co władze miały pretensje, podpisałem z nim pięcioletni kontrakt. Wykładał na reżyserii, nie mógł go zwolnić nikt poza mną. I Kazia ścigała mnie, którego wyrzucili z Uniwersytetu Śląskiego. Na innych uczelniach zwalniano, ja nie dopuściłem, żeby ktokolwiek był ruszony” („Wyborcza”).

Wielu nie mogło mu wybaczyć, że był w PZPR, nie tłumaczył, nie roztrząsał. Później przyznał w wywiadzie: „Do partii wstąpiłem w czasie studiów. Przełom 1967/68 roku, kiedy chcieliśmy – my młodzi – mieć wpływ na świat. W tej chwili wielu tak powie, ale nam przyświecała taka myśl. Po 1970 r. zapał osłabł, jednak przyszła nowa władza i nadzieja. I tak się zmieniało, później się znowu nie zmieniało – a ja tkwiłem w martwym punkcie. A gdyby ktoś miał wątpliwości, czy partia była mi potrzebna i czy grałem Gustawa-Konrada w »Dziadach« dlatego, że mi to partia załatwiła, to jest w błędzie. Jeśli już ktoś komuś był potrzebny, to może bardziej ja partii niż partia mnie. (...) Nie chcę tego unikać, mojej obecności w partii, bycia posłem – przecież nie musiałem, po co mi to było? Ale jak już zostałem rektorem, a szkoła była w trudnej sytuacji, usłyszałem od wysokiego urzędnika państwowego – nie był to warunek, ale przestroga: »Jeżeli chcesz, aby szkoła miała siedzibę, to przyjmij propozycję bycia posłem, jeżeli nie, wybij sobie budowę szkoły z głowy«. I wybrałem – wariant złotego środka. Korzystny dla ludzi, dla których zostałem rektorem, bo nie dla siebie. Miałem nawet takiego fioła, że jak dostałem służbowy samochód, to stał całą zimę i opony mu gnily. Nie wsiadałem do niego, uważałem, że są ludzie, którzy cierpią w tej chwili, to jak mam jeździć służbowym samochodem?”.

Sonia Bohosiewicz (aktorka teatralna i filmowa): – Niezwykle ciepły, uczciwy, mądry, mądrością ludzką, nie gwiazdorską. Pewnego dnia przyjechało do mnie młodsze rodzeństwo, dużo młodsze, opiekowałam się nimi, mieszkaliśmy w akademiku. Poszłam do profesora Trela i zapytałam, czy mogę wziąć dzieciaki na zajęcia; on na to, że oczywiście, nie ma sprawy. Zapytałam jak zwykły człowiek zwykłego człowieka i dostałam zwykłą odpowiedź, bez kluczenia. Nauczył mnie techniki grania, punktualności na scenie. Pamiętam naszą wprawę do USA ze spektaklem „Damy i huzary”, lecimy, nic się nie dzieje. Ale przypomniałam sobie, że trzeba wypełnić deklaracje, Jerzy Nowak nie zdążył jej wypełnić. Pytam Trelę, co teraz, bo Nowak spał, a za chwilę koniec lotu. Trela przeszukał marynarkę Nowaka, wyjął ten dokument, ja go wypełniłam, ale trzeba było jeszcze podpisać. Co zrobił Trela? Wsadził w rękę Nowaka długopis, obudził go i powiedział: „Jurek, autograf”. I Nowak spał dalej.

PRZYJACIEL

Janusz Szydłowski: – Dużo razem przeżyliśmy. Byliśmy biednymi studentami, nie mieliśmy pieniędzy, więc w wakacje jeździliśmy po krakowskich wsiach, kupowaliśmy od ludzi stare lampy naftowe, niektóre naprawdę piękne. Naprawialiśmy je, a potem sprzedawaliśmy do Desy. Albo remonty jakiejś... Jurek potrafił przyjąć wszystko z pokorą, bo cenił szczerość, pytał czasem, co myślę o jego roli; mówiłem szczerze. I teraz, proszę pani, jak on już odszedł, to dotarło do mnie, jakiego wyjątkowego miałem przyjaciela, żal mi, że może czasem nie doceniałem naszej przyjaźni, że mogłem bardziej się starać. Kiedy Jurek umarł, życie spadło mi na głowę, wszystko się przewartościowało. Pewnie, że sztuka jest ważna, ale ludzie są od niej ważniejsi, bliskość. I powiem pani, że moje życie urwało się, nie wiem, co będzie dalej. ●